

Tytuł oryginału:  
**Gitarowy bohater**

**Autor:** Mateusz Borda

**Autor obrazków:** Dariusz Fabiś

Zabrania się rozpowszechniania, edytowania oraz jakichkolwiek innych działań na poniższym dokumencie bez zgody i wiedzy autora.

Copyright

Wieczór był wyjątkowo mroźny. Na ulicach Ojacie\*, zwykle zatłoczonych i ruchliwych panował spokój. Większość mieszkańców siedziała w domach grając w gry planszowe i opowiadając miejscowe legendy. Ktokolwiek wychodził o tej porze na dwór, musiał mieć bardzo ważny powód.

Jedną z takich osób był Tim Root, student Akademii Magii. Pędził przez ulicę Bękartów sprytnie omijając złożone stragany. Pod niebieską szatą, obszytą mnóstwem cekinów i perełek, jak na maga przystało, kryła się wychudzona, smukła sylwetka. Niebieski kapelusz spoczywał na czarnych, kręconych włosach, które opadały na całkiem przystojną twarz. Mgła przesłaniała mu widok. Ledwo widział, jednak to nie było jego problemem. Urodził się w tym mieście, dorastał tutaj, znał je ,jak własną kieszeń.\*\*

Był spóźniony. Wiedział o tym. Do tego ten mróz, docierający do każdego, najmniejszego zakamarka ciała. Skręcił w ulicę Krętą\*\*\*. Tak, pomyślał, jeszcze trochę i będzie na miejscu. Biegając, o mało nie wywrócił się o śpiącego w rynsztoku psa, który zbudzony, ruszył za nim w pościg, szczekając głośno.

— No pięknie. - mruknął i zakręcił w bramę. Stracił przyczepność na oblodzonym kamieniu, jednak zdołał utrzymać równowagę i pobiegł dalej, w przeciwieństwie do ścigającego czworonoga. Ten, lecąc po lodzie przez bramę, zapiszczał tylko i chwilę później boleśnie zatrzymał się na schodach prowadzących do domostwa.

Tim wybiegł z bramy, nie oglądając się nawet. Dobiegł do końca alejki zatrzymując się przy jednym z domów.

Budynek nie był wysoki, miał jedno piętro. Farba, która zapewne kiedyś była czerwona, pokrywała budynek. Ząb czasu i niesprzyjające warunki atmosferyczne sprawiły, że budynek raczej nie zostanie umieszczony na pocztówce z Ojacie. Z okien przez masywne zasłony przebijało się światło, do uszu dochodziły odgłosy zawziętej rozmowy.

Mag wszedł po schodach, zdyszany, zapukał do drzwi. Klapka w drzwiach uchyliła się:

— Kto tam? - jak grom z nieba zabrzmiał niski głos mężczyzny.

— Ja. - odezwał się Tim

— Jaki Ja? Nie znam żadnego Ja. Hasło!

— Clint. Nie wygłupiaj się. I tak nikt nie zna tego przeklętego hasła. Poza tym, kto chciałby włamywać się do takiej rudery.

— Noo... - w głosie mężczyzny zabrzmiała nutka niepewności.

— Daj spokój. Wpuść mnie, bo zaraz zamarznę. - klapka zatrzęsnęła się. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież i Mag wszedł do środka.

Przedpokój nie był duży. Na pomalowanych kolorem żółci i wymiocin ścianach wisiały zakurzone trofea myśliwskie, w kącie, przy wejściu stał stojak na parasole a ze skrzypiącej, drewnianej podłogi wystawało kilka gwoździ. Świece na stojaku oświetlały korytarz powodując półmrok.

— Wszyscy już czekają – odezwała się dwumetrowa góra mięsa, będąca Clintem. Clint nie był magiem. Nie pasował do tego zawodu. Większość magów, to wysokie, chude postacie które wraz z wiekiem hodują na swoim ciele coraz większy brzuch piwny. Jednak Clint cieszył się szacunkiem wśród adeptów Magii ze względu na swoje rozmiary i temperament. Nie był to bowiem osobnik któremu można wprost odmówić, a jeśli człowiek posunął się do tak drastycznych metod, zwykle kończył w rynsztoku z całą masą obolałych kości, zazwyczaj nie na swoich miejscach.

\*Historia miasta i jego nazwy jest bardzo interesująca. Pierwsze słowo jakiego użyli osadnicy płynący z archipelagu wysp Wodex, gdy ujrzeli malowniczą zatokę otoczoną z trzech stron pokrytymi białym puchem górami, brzmiało 'Ojacie! Andziu, zobacz jaki widok!'. Następnie tak nazwano miasto, jednak ze względu na późniejsze problemy z adresowaniem na kopertach i trudności w wymowie obcokrajowców, nazwę zredukowano.

\*\*Jest to zła metafora, gdyż magowie w swoich szatach nie mają kieszeni.

\*\*\*Mimo swojej nazwy, ulica jest najprostszą w mieście.

Tim wszedł do zamglonego pokoju. W powietrzu unosił się zapach papierosów. Przy nakrytym stole siedziało kilka osób pograżonych w rozmowie.

Gdy go zobaczyli, rozmowa ucichła i osiem twarzy w kapeluszach na głowach zwróciło się ku niemu. Większość z nich była młoda, nieskalana zębem czasu. Wśród zgromadzonych można było dostrzec jedną czy dwie kobiety.

– Czekaliśmy na Ciebie – odezwała się niska postać, siedząca przy zaszczytnym miejscu pośrodku stołu.

– Przepraszam, Mistrzu Śliskoręki. To przez... - urwał, gdy Śliskoręki uniósł rękę.

– Jakikolwiek był to powód, mam nadzieję, że był dostatecznie ważny. - skinął na wolne miejsce - Usiądź proszę. - Mistrz westchnął.

– Czy wszyscy już są?

– Wydaję mi się, że tak, Gorg. - odezwała się szczupła kobieta z krótkimi blond włosami. W jej głosie jest coś niezwykłego, pomyślał Tim. Chociaż, może to tylko złudzenie?

– Dobrze. Zaczniemy posiedzenie Klubu Studenckiego Alfa-Beta. - oznajmił Śliskoręki.

Niecałą godzinę później, syty od jedzenia i przepełniony najnowszymi informacjami z zakresu Magii Ledejskiej\*, Tim udał się na górę do swojej sypialni.

Pokój nie był duży. Nie można by go nazwać nawet małym. Była to raczej połowa z i tak już małych rozmiarów pokoju, przedzielona na pół drewnianą ścianką. Jednak to jego własne mieszkanie i czuł się w nim najlepiej na świecie. Oprócz standardowych czynności, jak spanie i jedzenie, pokój służył Timowi także jako laboratorium.

Tworzył w nim wynalazki, które zazwyczaj okazywały się jedną wielką klapą. Tak było i w tym przypadku, bynajmniej tak myślał Tim. Oprócz Magii, interesował się także muzyką. Zawsze uważał, że jest jakaś luka między wysokimi dźwiękami instrumentów dętych, a niskimi uderzeniami bębnów.

Za wszelką cenę starał wypełnić się tą luką, jednak sam za bardzo nie wiedział czego szuka.

– Hmm – mruknął, siadając na łóżku.

Spojrzał na Przedmiot leżący na stole. Miał dziwny kształt, niczym placek, na którym znajdowało się kilka Pokręteł. Z jednej strony korpusu wychodził Długi Kawalek Drewna, na którym, co kilka cali były przybite Metalowe Sztabki. Z jego końca wychodziły Metalowe Żyłki, które ciągnęły się przez całą jego długość, ginąc gdzieś w głębi Korpusu. W pewnym miejscu na przedmiocie znajdowały się Dwa Prostokąty.

Tim chwycił instrument i położył go na łóżku. Otworzył szufladę i wyjął z niej świecący na zielono kamień wielkości nerki. Był to powszechnie dostępny Halen. Odkręcił z tyłu gitary klapkę i włożył do dziury świecący kamień.

Na jedną chwilę pokój wypełniły wszystkie możliwe barwy, a nawet kilka więcej po czym nagle zgasły, niknąc gdzieś w środku instrumentu.

Położył gitarę na kolanie, chwycił za podłużny kawałek drewna i szarpnął metalowe pręty. Wydobył się Dźwięk. A raczej coś brzmiącego jak Dźwięk. Był to raczej dźwięk – szary, nijaki, brzmiący jak kot obdzierany ze skóry.

Chwilę później ktoś zapukał do drzwi po czym otworzył je bez pytania.

– Dobry wieczór Tim – odezwała się kobieta. Była, jak na kobietę, bardzo wysoka. Jej długie uszy i głębokie czarne oczy zdradzały pochodzenie – była elfem.

– Witaj – rzucił niechętnie.

– Nie przeszkadzam? - uśmiechnęła się promieniście.

\*Magia Ledejska była specyficznym rodzajem magii – nikt nie umiał wyjaśnić, do czego właściwie służyła oraz jaki cel miało jej istnienie. Wiadome było, że niektóre zjawiska powstałe w wyniku jej badania, nazywane były Wyładowaniami Elektrycznymi. Rada Starszych od dawna rozważała zamknięcie tego wydziału ze względu na jego małą przydatność i niezbyt świetlaną przyszłość. Mimo to, wydział miał swoich zwolenników.

– Oczywiście, że nie – Bogowie, jaka ona jest śliczna, pomyślał. – Proszę, usiądź.  
Spojrzała na gitarę.  
– Co to jest? - głos dobiegł do uszu Tima niczym aksamitny dotyk.  
Jej oczy...  
– Kolejny nieudany eksperyment. Nic z tego nie będzie, jeszcze dzisiaj wyrzucę to na śmietnik. - odparł smutnie.  
Jej uśmiech...  
– Może da się coś z tego pewnie zrobić? - mruknęła do niego. - Swoją drogą, wiesz może, z którego pokoju przed chwilą wydobyły się takie okropne dźwięki? Jakby ktoś kota ze skory obdzierał.  
Jej biust...  
– To... to pewnie z domu naprzeciwno. Ostatnio dzieją się tam dziwne rzeczy.  
Jej talia...  
– Wybacz, że tak Cię nachodzę, ale w moim pokoju ktoś zapchał komin i jest tam okropnie zimno. - rzekła smutnie.  
Jej włosy...  
– Jeśli chcesz, możesz przenocować u mnie – powiedział.  
Jej nogi...  
– Będę musiał spać na podłodze, ponieważ mam tylko jedno łóżko. - dodał z goryczą w głosie.  
Jej szyja...  
– Myślę, że jakoś temu zaradzimy – uśmiechnęła się.  
Tim wstał. Chwycił instrument i otworzył okno.  
– Co ty robisz? - rzuciła niepewnie. Odwrócił się.  
– I tak nic by z tego nie wyszło. - odparł i wyrzucił gitarę za okno. Słychać było głuchy trzask uderzenia i jęknięcie.  
Zamknął okno.  
Jej ciało...  
Raz kozie śmierć, pomyślał. Zasunął zasłony i zdmuchnął płomień świeczki.  
W pokoju zapanowała ciemność.

\*\*\*

**D**rzwi z baru 'Pod Toporem'\* zatrzęsły się z hukiem. Prawdę mówiąc, nie dało się ich zamknąć inaczej - każda osoba próbująca dokonać tego starannie i delikatnie, zatrzaskiwała je z hukiem. Taki już urok krasnoludzkich barów.

Ekscentrycznie ubrany człowiek chwiejąc się, przeszedł przez Plac Mady i zatoczył się w boczną alejkę, prowadzącą prosto do jego domu. Drogę rozjaśniał mu tylko księżyc i gwiazdy na bezchmurnym niebie.

\*Był to lokal dla ciemniejszej strony miasta- nazwa nie wzięła się wcale od olbrzymiego topora zawieszzonego nad wejściem. Wieczorami, gdy męska część klienteli, będąc w stanie upojenia alkoholem często nawiązywała zbyt bliskie kontakty z małżonkami innych krasnoludów, zazwyczaj kończyła pod toporem tychże.



Odbijając się od ścian i kublów na śmieci próbował utrzymać równowagę. Do jego uszu, z odległości kilkudziesięciu metrów dobiegł dziwny dźwięk.

– Shzo tho wyło? - mruknął i chwiejnie ruszył dalej, potykając się o kota grzebiącego w rozwalonym koszu.

– Miau! Miau miau! Miauuu! - fuknął kocur.

– Akysz! Zharazo! - krzyknął, po czym kopnął sierściucha.

– Miau! - zapiszczał tylko po czym uciekł między kubły na śmieci.

Usłyszał trzask otwieranego okna po czym spojrzał w górę.

– Co ty robisz? - do jego uszu, niemalże na granicy słyszalności dobiegł aksamitny głos.

– I tak by nic z tego nie wyszło – odparł drugi głos, już mniej aksamitny od pierwszego.

Mężczyzna zauważył przedmiot spadający w dół, jednak było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Gitara wylądowała miękko na głowie mężczyzny, który pod wpływem uderzenia niezbyt miękko wylądował w rynsztoku.

– Ale piękne gwiazdy – powiedział ospale, po czym odpłynął do krainy snów i marzeń w świetle księżycy.

\*\*\*

Słońce tego dnia postanowiło wstać kilka godzin później niż zwykle. Było to częste zjawisko w Świecie.. Naukowcy z Akademii Magii próbowali porozumieć się ze słońcem i zrozumieć jego naturę. Niestety, żadna ekspedycja wysłana w stronę tej ogromnej żółtej gwiazdy nie miała okazji powrócić z powrotem.

Szczupły mężczyzna wstał z łóżka. Jak co dzień, ubrał się i poszedł do łazienki. W lustrze ujrzał długie, rozczochrane włosy opadające na charakterystyczną twarz z szerokimi ustami. Niektórzy porównywali je do banana, jednak od banana różniło je to, że potrafiły bardzo dobrze śpiewać.

Zza drzwi dobiegł głos.

– Steven, nie widziałeś Joego?

– Nie ma go u siebie? Pewnie znowu poderwał jakieś dziewczyny.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich niski mężczyzna, w przeciwieństwie do Stevena, miał krótkie blond włosy. Ubrany był w czarne spodnie oraz skórzaną kurtkę, wyglądał na zdenerwowanego.

- Wróci przed dwunastą.

– Popołudniu mamy koncert, nie możemy go zawalić.- Steven spojrzął w lustro.

– Nie nauczyli cię, żeby pukać zanim wejdiesz do łazienki? Mogłem być nagi – powiedział z wyrzutem.

– Ale nie jesteś. Pośpiesz się, idziemy po Brada i Toma a potem na próbę. Zostawiłem na stole w kuchni kartkę dla Joego, gdzie jesteśmy.

– Za pięć minut wyjdę – rzucił. Lekko wypchnął Josepha za drzwi.

Pół godziny później Steven stanął w progu kuchni.

– Idziemy? - spytał.

– Dłużej się nie dało? Chodźmy już. - Joey wstał i wyszedł z domu tylnymi drzwiami w brudną i cuchnącą uliczkę. Zaspany Steven wyszedł za nim swym chwiejnym krokiem.

Zbliżając się do wylotu uliczki na Plac Mady ujrzeli postać leżącą przy koszach na śmieci.

– Z daleka wygląda jak Joe. - powiedział Joseph, po czym podszedł bliżej i szturchnął nogą śpiącą postać.

– Mwhmh... zimno mi.- zabelkotał mężczyzna.

– Joe?! - zdziwił się Steven. - Obudź się, stary! - ukląkł przy nim i zaczął klepać Joego po twarzy.

– Ała, mój łeb...- jęknął Joe. Spojrzął na wprost.

– Co to jest? Co ci się stało?

– Bogowie wiedzą, co to jest. - rzucił. - Wracalem sobie z baru, pamiętam jakieś dziwne dźwięki. Spojrzałem w górę i oberwałem tym ustrojstwem. Dalej nic nie pamiętam.

Steven pomógł mu wstać. Joe otrzepawszy się z piachu i śmieci podniósł instrument.

– Co to może być? Chyba to coś...

– Cokolwiek to jest, nie mamy teraz na to czasu. - przerwał mu Steven. - Musimy iść po Brada i Toma.

– Weź to ze sobą i chodźmy, nie mamy czasu. Dzisiaj nasz koncert. - ponaglił ich Joey.

Joe zarzucił na ramię gitarę, która rozbłysła dziwnym, zielonym światłem. Spojrzeli na niego pytająco. Joe wzruszył ramionami.

Ruszyli przez Plac Mady w stronę ulicy Słonej, nieświadomi tego, że ich życie wkrótce obróci się o 180 stopni.

\*\*\*

**W** domu na Słonej słyhać było donośne dźwięki kontrabasu i pianina. Być sąsiadem muzyka to prawdziwa przyjemność, pod warunkiem, że muzykant jest dobry w swoim fachu. Na Słonej mieszkało ich dwóch i można o nich powiedzieć, że byli wybitni inaczej.

Z daleka można było usłyszeć sprzeczkę.

– To nie tak szło! Za wcześniej wchodzisz z pierwszą nutą! - krzyczał bardzo wysoki mężczyzna z długimi, złocistymi włosami.

– Jak mam wejść dobrze skoro tym swoim głupim basem zagłuszasz wszystko wokół!

- odpowiedział drugi blondyn, niższy prawie o głowę.

Zabrzmiała kołatka do drzwi.

– Otwieraj, Brad! Wasze jęki słyhać z drugiego końca ulicy. - krzyknął Steven pukając w okno.

– Już, już! - odkrzyknął. - Tom, spakuj twojego gruchota.

– Odwal się. - burknął blondyn.

Brad otworzył drzwi i zaprosił gości do środka po czym udał się na górę. Joe, Steven i Joey przeszli do salonu i usiedli w fotelach. Joe położył na stole gitarę.

– Cześć chłopaki. - Do pokoju wszedł tom z wielkim, twardym futerałem w ręce.

– Witaj. Stresujesz się? - spytał Joey.

– Trochę. Chyba zapomniałem, co mam grać... - odparł. Spojrzał na stół. - Co to jest?

– Znalazłem to. - powiedział Joe.

– A raczej to znalazło ciebie. - zaśmiał się Steven. - Cokolwiek to jest, Tom, sprawdzimy to później. Gdzie do cholery jest Brad?

– Brad! Pośpiesz się! - krzyknął Joseph.

– Idę, idę – usłyszeli z góry.

\*\*\*

Dziesięć minut później raźnie szli w piątkę ulicą Sławnych w stronę najwyższego punktu w mieście – gmachu Opery Ad'Gam. Budynek był widoczny z każdego miejsca w mieście – trudno było nie zauważyć wielkiej kopuły zdobionej szkłem, górującej nad małymi, dwu, trzypiętrowymi domostwami. Wystawiano w niej największe sztuki oraz grali w niej najlepsi kompozytorzy z całego Świata.

Zatrzymali się przed ogromnymi, marmurowymi schodami prowadzącymi do wielkiego budynku.

– Kiedyś tu zagramy. – odparł Joe po czym wszyscy razem skręcili w ulicę Prostopadłą. Zegar wybił południe.

Z bocznego zaułka wyłoniły się trzy trolle, przesłaniając słońce swoimi wielkimi, szarymi ciałami.

Pięknie – mruknął Tom. Trolle zbliżyły się do nich. Jeden z nich, największy, z przepaską na oku\* zwrócił się do Joego.

– Co ty nieś? - wskazał wielkim palcem na gitarę trzymaną na plecach.

– Ee...to jest taki instrument.

– Odebrać go wam mamy rozkaz. - wybełkotał drugi z trolli.

– Kto tak powiedział? - spytał się Steven.

– Pan Leo Fender, zapłacił nam, a robotę wykonać my mamy.

– Oddajcie nam instrument, a nie stanie się nikomu nic. - zagrzmiał troll-przywódca.

– Powiedzcie temu Fenderowi, kimkolwiek on jest, żeby się wypchał. Zrozumiałeś, tępą główko? - Joe z ledwością dosięgnął głowy trolla i popukał w nią.

– Tak psze pana. - odparł.

– Dobrze, a teraz pozwolicie, że oddalimy się w swoją stronę.

– Ee... zaraz!

\*Każdy wiedział, że trollowi nie można było wydłubać oka ponieważ było z ono kamienia (jak inne części jego ciała). Jednak przepaska noszona przez trolla, oznaczała wysoką rangę w hierarchii gangu.

– Biegiem! - krzyknął Joey. Ruszyli w stronę klubu.  
– Łapać ich! - krzyknął jeden z trolli po czym puścił się w pogoń.  
– Panowie zamierzają gdzieś biec? - przed trollami nagle wyrosło kilku strażników miejskich.

Trolle mają to do siebie, że są niezwykle silne, jednak z bieganiem mają spore problemy. Gdy noga ważąca kilkaset kilogramów uderza z całą siłą o ziemię, wywołuje małe trzęsienie wskutek czego większość domów znajdujących się w epicentrum, w najlepszym wypadku odnosi poważne uszkodzenia ścian i dachu. Władze miasta już dawno zapobiegły problemowi wnosząc zakaz biegania trollom po mieście pod groźbą kary i robót publicznych.

– Szybciej, szybciej! - ponaglał Brad. - W prawo! - skręcili w uliczkę prowadzącą do klubu Starego Mike'a. Tom obejrzał się.

– Zgubiliśmy ich. - odsapnął.

– Stary Mike będzie wkurzony. Jesteśmy spóźnieni na próbę o ponad pół godziny! - powiedział zdyszany Joey. Ruszyli przyspieszonym krokiem w stronę klubu.

Zatrzymali się przed miejscem, które teoretycznie miało wyglądać z zewnątrz jak poważny klub rozrywkowy, a w praktyce wyglądało niczym Dom Publiczny.

Gdy weszli do środka, naprzeciwko nich stanął niski, stary krasnolud z długą, brudną brodą w której, jeśli wierzyć zapachom, rozwinęła się nowa cywilizacja.

– Ile jeszcze będę na was czekał? - każda głoska wypowiedziana przez Starego Mike'a dochodziła do uszu niczym wyszorowana papierem ściernym.

– Wybacz nam, Mike. Drobne problemy techniczne. - Steven uśmiechnął się, bez wzajemności.

– Wchodzić na scenę, za godzinę macie występ. - Jak powiedział, tak zrobili. Steven przygotował Makrofon, Joey ustawił swoją perkusję, Tom nastroił kontrabas a Joe i Brad ustalali kolejność wykonywania solówek.

Muzykę którą grali, nie umieli dokładnie zdefiniować i nazwać. Była szybka, agresywna, teksty niekiedy były wulgarne i seksistowskie jednak miała w sobie coś takiego, co przyciągało ludzi na ich występy. Jak dotąd, występowali tylko w barach i spelunach, jednak ten dzień miał być ich wielkim dniem.

Gdy do występu zostało jeszcze trochę czasu, Joe zainteresował się gitarą która, jak dotąd, leżała w kącie za sceną i połyskiwała lekko. Przyniósł ją na scenę, usiadł i przyjrzał się jej.

– Całkiem fajnie to wygląda. - rzucił Brad. Joe pociągnął za struny. - Ale okropnie brzmi. - skrzywił się.

– A od czego są te pokrętła? - spytał Tom.

– Sprawdźmy. - Joe pokręcił jednym po czym pociągnął za strunę.

– Zdecydowanie inaczej brzmi. Ładniej. - powiedział Brad który majstrował coś przy skrzypcach.

– Spróbuję nastroić także inne struny. - odparł Joe i wziął się do roboty.

– Gdyby nastroić to coś, może byłby z tego jakiś użytek? - powiedział Steven, dotychczas siedzący cicho.

– Ma takie fajne, ostre zacięcie. Pasuje do naszej muzyki. - rzucił Joey.

Kilka minut później, gdy Joe pociągnął za struny, dźwięk uderzył w ich uszy niczym wodospad.

– To jest świetne! Spróbuj coś zagrać! - Joe zauważył, że oczy całego zespołu są skierowane na niego.

– Ale jak, ja nic nie umiem. Nie wiem nawet jak nazywa się ten instrument. - wzruszył ramionami.

– Może nazwij go 'gitarą'? - pomiędzy krzesłami z drugiego końca sali odezwał się głos.

- Kim pan jest? - Tom spojrział wyczekująco.
- Nazywam się Lester Polsfuss, ale mówcie mi Les Paul.
- Zaraz, zaraz. Ten Les Paul? Wynalazca i najlepszy lutnik w Ojacji?
- Obawiam się, że tak, mój drogi. - Lester uśmiechnął się promieniście. - Zagraj coś, Joe. Wiemy, że potrafisz.
- Spróbuję...- Joe uniósł gitarę, przewiesił pasek przez ramię po czym chwycił za gryf. Zielone światło na krótką chwilę wypełniło salę, a w następnej słychać było już tylko niesamowite dźwięki gitary wydobywane przez Joego. Wydawało się, że dźwięk pochodzi z całego świata, nie ma jednego źródła.
- Kilka sekund później, gdy Joe skończył, wszyscy patrzyli na niego zdumieni.
- To było niesamowite! - krzyknął Brad.
- Jesteś gitarowym bohaterem. - zaklaskał Les Paul.
- Czuję się, jakbym umiał grać na tym instrumencie od wielu lat a w rzeczywistości, miałem go pierwszy raz w rękach! - stwierdził z entuzjazmem Joe. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Les Paul podszedł pod scenę.
- Widzę w was panowie i w tym instrumencie przyszłość. Czy mogę obejrzeć gitarę?
- 
- Oczywiście, proszę. - Joe podał mu instrument. Lester oglądał go chwilę, po czym odłożył na scenę.
- Myślę, że mógłbym wykonać kopię tego instrumentu. Jest napędzany Halenem, kamieniem dostępnym w każdym sklepie alchemicznym. Konstrukcja jest prosta. Wykonam dla was te instrumenty za darmo, ponieważ widzę potencjał w was i gitarze.
- Proszę pana...- zaczął Tom.
- Też o tym myślałem. Spróbuję zamontować struny podobne do tych z kontrabas do gitary. Oczywiście odpowiednio zmodyfikuję obydwie rzeczy. - zastanowił się chwilę. - Nazwiemy to gitarą basową. Joe, pozwolisz, że wezmę gitarę do warsztatu u mnie w domu?
- Chwileczkę, chcielibyśmy się naradzić. - powiedział Joe. Zespół zebrał się w kółko. Słychać było szmery zawziętej rozmowy. Kółko rozstało się.
- Zgadzą się. - powiedział Steven. - Kiedy dostaniemy instrumenty?
- Myślę, że za dwa tygodnie ktoś z moich ludzi wam je dostarczy. - odparł Les Paul. - A teraz wybaczone panowie, za chwilę zaczną schodzić się ludzie. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył gitarę. Pewne osoby są zainteresowane tym przedmiotem. - chwycił instrument po czym schował go pod płaszcz.
- Leo Fender?
- Tak, skąd wiedziałeś, Brad?
- Nasłał na nas swoich ludzi. Próbowali odebrać nam instrument ale, jak widać, nieskutecznie.
- Ten człowiek jest chory. Zrobi wszystko, żeby dostać gitarę w swoje ręce.
- Zauważyliśmy – powiedział Tom.
- Czas na mnie. – odparł Les Paul.
- Dowidzenia... - po kolei uścisnęli mu rękę.
- Powodzenia na występie panowie. Do zobaczenia wkrótce. - odszedł w stronę wyjścia.
- Gitarowy bohater... - odparł w zadumie Joe.
- Ile mamy czasu do występu? - spytał Steven.

## 6 miesięcy później...

\*\*\*

– Trzy minuty! - krzyknął mężczyzna z obsługi. Zza kulis słychać było głośnie piski i krzyki publiczności. Zespół zapowiadający kończył swój występ.

Kulisy wyglądały jak zoo. Mnóstwo pudeł, sznurów, stelaży i ludzi krzątających się dookoła. Wielki chaos i nieład. Zawsze gdzieś musi panować chaos, aby w innym miejscu wszystko było związane idealnie na ostatni guzik.

– To lepsze, niż Opera Ad'Gam! - powiedział Brad. W ręku trzymał gitarę wiśniowego koloru która połyskiwała czerwonym blaskiem.

– I pomyśleć, że jeszcze pół roku temu graliśmy zapyziałym klubie Starego Mike'a. - rzucił roztrzęsiony Tom. - O bogowie, ale mam tremę. - obok niego stała długa gitara basowa.

– Dwie minuty! - krzyknął ktoś z tyłu.

– Około dziesięć tysięcy rozwrzeszczanych, szalonych osób na widowni. Od tego występu zależy cała nasza przyszłość. - odparł siedzący na schodach z tyłu sceny Joey. Obracał w rękach pałeczki od perkusji. - To musi się udać!

– Nie tylko nasza przyszłość, ale również przyszłość muzyki. Muzyki rockowej. - powiedział Joe.

– Rockowej? Dlaczego rockowej? - Steven zgasił papierosa.

– Od skał, którymi napędzane są nasze gitary. Rock to skała w języku ludności z Wysp Herbacianych.

– Minuta!

– Panowie. Plac Mady jest nasz! Skopiemy im tyłki tak, że długo nie będą mogli na nich usiąść! - zawołał Steven swym barwnym głosem.

– A teraz...pewnie większość z was ich zna! - krzyczał prowadzący ze sceny. - Niesamowici! Jedyni w swoim rodzaju! - zespół ustawił się na schodach. - Steven Tyler! Joe Perry! Joey Kramer! Tom Hamilton i Brad Whitford!

Wybiegli na scenę. Na Placu Mady było tysiące osób. Ludzie, krasnoludy, elfy a nawet trolle. Rozgrzana publiczność powitała ich wiwatami.

– Dobry wieczór Ojacie! - zawołał Steven do Makrofonu.- Chcę wam powiedzieć, że jesteście świadkami jednego z najważniejszych wydarzeń w historii. - słychać było piski zachwyty.

– Dzisiaj będziemy rockować waszym światem, jak nikt inny wcześniej! Jesteście gotowi? Joe! Zaczynaj!

Muzyka eksplodowała.

A nazywali się Aerosmith...